Rok XVI. We Lwowie, dnia 14. sierpnia 1908. Nr. 33.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 11 Kor.
półroczna . 6 „
kwartalna . 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Ks. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

My a Słoweńcy.

Lublana 3. sierpnia 1908.

Przebywając od pewnego czasu wśród małego a uspołecznionego narodu Słoweńców, nie mogę się powstrzymać od kilku uwag na temat ich społecznego życia w porównaniu z naszem w Galicyi.

U nas w Galicyi — szczególnie wśród duchowieństwa, skoro się zejdzie na temat »pracy społecznej« wśród ludu, można zbyt często jeszcze spotkać się z twierdzeniem, że przeszczepianie na grunt galicyjski zasad demokracyi chrześcijańskiej jest pewnego rodzaju pracą Syzyfową jest zużywaniem sił i środków na marne.

Ten lub ów, mniej lub więcej rozumiejący potrzeby naszego społeczeństwa oponent czy krytyk, a w gruncie wygodny oportunista, gdy mu się wspomni o pracy społecznej, zasłania się tem, że duchowieństwo galicyjskie, a szczególnie w archidyecezyi lwowskiej ma olbrzymią pracę parafialną (czysto kościelną), która nie pozostawia czasu na pracę społeczną.

»A zresztą« wnioskują wspomniani krytycy, my nie mamy fabryk, nie mamy licznej warstwy robotniczej, a więc ta tak zwana »kwestya społeczna« u nas nie istnieje. Można o niej mówić w Anglii, w Niemczech, Belgii, Szwajcaryi, Francyi, ale nie u nas...

Starajmy się tylko spełniać należycie swoje obowiązki ściśle duszpasterskie — w konfesyonale i na ambonie, a »kwestya społeczna sama się rozwiąże«.

Tego rodzaju zarzuty ze strony przeciwników pracy społecznej nie są fikcyą, przez nas zmyśloną, ale rzeczywistością codzienną.

Otóż może niejeden z owych opozycyonistów zapatrywałby się inaczej na potrzebę pracy społecznej, gdyby przypatrzył się działalności na tem polu Słoweńców.

Kraina, gdzie Słoweńcy stanowią przeszło 98% ludności, posiada w głównych zarysach te same mniej więcej cechy, co Galicya. I tam nie ma wielkiego przemysłu, a temsamem i kasty robotniczej, czyli t. zw. czwartego stanu. Słoweńcy to po największej części drobni rolnicy, taksamo niegdyś ubodzy i zaniedbani, jak nasz ludek galicyjski i tak samo wyzyskiwani przez obcoplemiennych lichwiarzy i kapłanów boga-alkohola, jak nasz chłop.

A dziś?... Dziś, włościanin słoweński bez porównania wyżej stoi od naszego. Jest to obywatel w całem słowa tego znaczeniu, jakich niestety u nas bardzo mało. Chłop słoweński należycie pojmuje swoje obowiązki względem Kościoła i Ojczyzny. Mniej u niego religijności niewyraźnej uczuciowej niż u nas, ale za to więcej poczucia obowiązku i solidarności wyznaniowej i narodowej.

Bardzo charakterystycznym rysem Słoweńca jest jego zupełna »abstynencya od Żydów«, których jak wyczytałem w najnowszej statystyce jest tu wszystkiego 100 głów.

W stolicy Krainy Lublanie (przeszło 40.000 mieszkańców) jest 36.000 Słoweńców, około 4000 Niemców, a tylko dwie rodziny żydowskie.

Podobnie w Celowcu, stolicy Karyntyi jest jak mi mówiono parę rodzin żydowskich, które się przywlokły z Galicyi!

To też Słoweńcy aczkolwiek dla nas Polaków ze wszystkich narodów słoweńskich najbardziej przychylnie usposobieni, nie mogą nam darować naszej już przysłowiowej »żydomanii«. Dlatego staram się w rozmowach ze Słoweńcami unikać skrupulatnie wzmianki o żydach, aby się poprostu nie rumienić ze wstydu, gdybym musiał mówić o 800.000 żydów w Galicyi, o ich rozpanoszeniu się w naszym ubogim kraju i o naszej wobec nich niemocy. Ale schodząc na temat pracy społecznej, który stał się niejako chlebem powszednim Słoweńca, musi się, chcąc nie chcąc, potrącić o kwestyę żydowską.

Pijaka wśród słoweńskiego włościaństwa trudno znaleść, każdy wstrzemięźliwy, umiarkowany i roztropny, to też u wszystkich prawie spotyka się usposobienie pogodne.

Wielka jest też u ludu pospolitego chciwość wiedzy, zamiłowanie do lektury i to nawet poważniejszej,

»Domoljub«, pismo tygodniowe dla ludu słoweńskiego (w rodzaju naszej *Gazety Niedzielnej* lub *Prawdy)* posiada w samej Krainie, gdzie żyje zaledwie 600.000 Słoweńców — 24.000 abonentów, cyfra bądź co bądź pokaźna.

Dodajmy do tego inne pisma ludowe i zawodowe, jak „*Narodni Gospodar*“, „*Bogoljub*“ itp., posiadające od 10—15 tysięcy abonentów, a to nas przekona, że lud słoweński w krótkim stosunkowo czasie, bo od lat dopiero 14-tu zaczęła się wśród niego na seryo praca oświatowo-społeczna, stanął bardzo wysoko pod względem oświaty.

Trzeba dodać, że lud ten stanowiący z górą 4/5 całego społeczeństwa słoweńskiego, czyta jedynie pisma szczerze katolickie, gdyż liberalne lub choćby tylko bezbarwne, nie mają u niego posłuchu.

Aż serce się raduje na widok tych poważnych włościan na zgromadzeniach, które, nawiasem mówiąc, są tu bardzo częste i obfite w błogie owoce, rozprawiających z zupełnem rozumieniem rzeczy i po parlamentarnemu o najżywotniejszych zagadnieniach religijnych i społecznych, a wykładów lub przemówień słuchających w skupieniu. Trudno niekiedy uwierzyć, że to prości włościanie od pługa.

Że w powyższem przedstawieniu niema najmniejszej przesady, o tem każdy naocznie może się przekonać, niechaj tu tylko przybędzie. Co za zmysł organizacyjny u tego małego narodu, jaka łączność, jaka prawdziwa szczera demokracya, jaka uczciwość, a zarazem zapobiegliwość, prześcigająca znacznie Niemców!

Któż więc podniósł ten mały, zewsząd przez wrogów Słowiańszczyzny uciskany naród?

Odpowiem krótko: Duchowieństwo przez zakładanie związków chrześcijańsko-społecznych po parafiach.

Jeszcze przed 14-tu laty nie było tu mowy o takich organizacyach. Wtedy jeszcze lud słoweński był mniej oświecony, wyższe zaś warstwy obojętne tak pod względem religijnym, jak i narodowym.

Dopiero związki chrześcijańsko-socyalne zdarły ludowi bielmo z oczu, aby przejrzał i odrodziły społeczeństwo słoweńskie.

Nie tu miejsce rozpisywać się o sposobie zakładania tych związków, o ich błogiej działalności i o ich obecnym stanie — o tem da Bóg później pomówimy. Jedno atoli podnieść wypada, że i wśród słoweńskiego duchowieństwa (szczególnie wśród starszych wiekiem), było zrazu dużo, a i teraz jeszcze znaleźć można nieprzychylnych »nowym ideom«. Ale ci zmuszeni są poddać się w tym wypadku większości, którą stanowi głównie kler młodszy z niestrudzonym w pracy dla dobra Kościoła i narodu Biskupem swym Jegliczem na czele.

Jednakowoż i to na korzyść owych »konserwatystów« podkreślić należy, że choć nie pojmują należycie znaczenia pracy społecznej, to jednak niema wypadku, żeby proboszcz, sam nie oddający się tej pracy, przeszkadzał w niej swemu wikaremu.

Możnaby jeszcze dodać, że Słoweńcy kooperatorzy dłużej zwykle pozostają na jednem miejscu niż nasi, bo co najmniej 3 lata. Sam miałem sposobność rozmawiać z jednym wikaryuszem, prowadzącym wzorowo organizacyę chrześcijańsko-społeczną w swojej miejscowości, który na jednem miejscu ósmy rok pracuje.

Nie dziw przeto, że zna doskonale wszystkich mieszkańców swej parafii, ich potrzeby i usposobienia, która to znajomość, jak mi mówił w pracy społecznej jest bardzo wielkiej wagi.

Kończąc, wyrażamy przekonanie, że to, co u Słoweńców zrobiono na polu społecznem w krótkim stosunkowo przeciągu czasu, to i u nas zrobićby się dało, tylko trzeba nam więcej wiary we własne siły, więcej wytrwałości i cierpliwości, a »zabłyśnie jutrzenka lepszej przyszłości«. *S.*

Polacy w Hiszpanii[1]).

Dla dawnych Polaków półwysep pirenejski był »ultima Thule«. Ze wszystkich krajów europejskich ten z pewnością najmniej był znany, bośmy nie posiadali marynarki wojennej a handlową miał jedynie Gdańsk, który, chociaż należał do Polski, faktycznie był niezawisły. Na morzu nie mieliśmy nawet tego znaczenia, co mała Kurlandya, Polski lenno, mająca stosunki z krajami zamorskimi. Stąd nieznajomość u nas Hiszpanii, o której Polak jeszcze w wieku 17. tyle wiedział, ile wyczytał w »Relacyach« Botera Benesiusa, po polsku wydanych w Krakowie w r. 1613 albo w r. 18. w dziele Arcybiskupa lwowskiego (później prymasa) Wład. Alex. Łubieńskiego »Świat we wszystkich swoich częściach« (wyd. w r. 1740). Była to w swoim czasie najobszerniejsza geografia powszechna w jęz. polskim. Zapewne, że pielgrzymi do Kompostelli, liczni przez wieki 16-y, 17-y i 18-y, opowiadali dużo o kraju Iberów, ale tylko ustnie.

O niewielu tylko (stosunkowo) Polakach z wieków wymienionych doszła nas wiadomość całkiem ogólnikowa, że byli w Hiszpanii: na początku w. 16-go (przed r. 1526) zwiedził ją wielki wojownik hetman Jan Tarnowski, który odbywszy pielgrzymkę do Palestyny, przypłynął do Portugalii, gdzie pomagał w wojnie przeciw Maurom królowi Emanuelowi I. Powracając do ojczyzny, przejechał przez Hiszpanię. W tym samym wieku byli w Hiszpanii Jędrzej Tęczyński, kasztelan krakowski i sławny podróżnik Stanisław Łaski, później wojewoda sieradzki. Znany poeta i dyplomata Jan Dantyszek, później biskup warmiński, był przez 12 lat rezydentem przy Karolu V., który jadąc do Hiszpanii, zabrał go ze sobą (odprawiwszy innych ablegatów) i zaliczył go między szlachtę hiszpańską. Także Jan Tęczyński, kasztelan wojnicki, był w w. 16. w Hiszpanii, gdzie przechodził koleje dziwne i awanturnicze, o czem niejasno opowiada Paprocki, Wojciech Kryski, młodzieniec bardzo wykształcony i pełen nadziei, podkomorzy płocki, który umarł w r. 1566, mając dopiero 33 lat, posłował dwa razy do króla hiszp. Filipa II., z polecenia Zygmunta Augusta. Ten sam król wysłał do Hiszpanii X. Stanisława Fogelwedera, kanonika krakowskiego, który był

[1]) Zawarte w tym ustępie szczegóły historyczne zawdzięczam uprzejmości jednego ze światłych kapłanów naszych historyków, »Gazecie Kościelnej« szczególnie życzliwego, który jednak nie chce być wymienionym. Wiadomości te zaczerpnięte są w znacznej części ze znanych dzieł Starowolskiego, Niesieckiego i Jaroszewicza (»Matka Świętych Polska«). Przyp. autora.

później kanclerzem królowej Anny Austryaczki, żony Zygmunta III. (ur. 1525 † 1603). W r. 1577 odprawił (z bratem swoim Stanisławem) pielgrzymkę do Kompostelli konwertyta Jerzy Radziwiłł, późniejszy kardynał i biskup krakowski. Ukończywszy w Rzymie studya teologiczne, stamtąd »pieszo, w stroju pielgrzymskim i osobę swą utaiwszy, chodził do Hiszpanii, gdzie różne święte miejsca i grób św. Jakóba nawiedzał« (Jaroszewicz »Matka Świętych, Polska« pod dniem 19. marca). Piotr Wolski, biskup płocki, za młodu dworzanin Zygmunta Augusta, wysłany był z powodu »sum neapolitańskich« po śmierci Bony jako poseł do Filipa II. i przez 9 lat sprawował tę legacyę w Hiszpanii.

Gotując się na wojnę szwedzką posłał Zygmunt III. Krzysztofa Korycińskiego do króla hiszpańskiego Filipa III. w nadziei, że uzyska jakąś od niego pomoc a zarazem chciał »wyjednać pewniejszą wypłatę dochodów, od owych sum po królowej Bonie w królestwie neapolitańskiem na cłach i dochodach ubezpieczonych, którą vicerejowie neapolitańscy trudnili i zwlekali«. Te same trudności były powodem, że do Hiszpanii dość często jeździli posłowie polscy: Stanisław Grodziecki, Adam Mąkowski i inni. Zawsze jednak zbywano ich przychylnemi oświadczeniami, które nie przynosiły pożądanego skutku[1]). Jan Sapieha, pisarz polny koronny († 1664, pochowany we Lwowie u OO. Bernardynów) służył 7 lat w wojsku hiszpańskiem. Oprócz wymienionych byli w Hiszpanii w pierwszych dziesiątkach lat 17-go wieku: Paweł Kryski, syn Feliksa, kanclerza w. kor. († 1624) i Aleksander Korniakt (z Sośnicy), z rodziny greckiej, którą bogactwa wyniosły na stanowisko magnackie († 1639). Za Zygmunta przepędził także aż 8 lat w Hiszpanii jako poseł X. Jan Andrzej Próchnicki, proboszcz kapituły krakowskiej a później arcybiskup lwowski († 1633).

Pierwszym Polakiem, który pozostawił spisane (ale nie drukowane) wspomnienia z podróży swej do Hiszpanii, był Jakób Sobieski, ojciec Jana III. Przebywał on za młodu (od r. 1607—1611) w Paryżu, skąd pojechał (w roku 1611) do Hiszpanii (nauczywszy się języka tego kraju). Zaraz na wstępie, w Pampelunie, spotkała go niemiła przygoda, bo córka gospodarza u którego stanął, okradła go w porozumieniu ze swoją matką. Odebrał jednak swoje pieniądze i »rzeczy drogie«, uwiadomiwszy o kradzieży wicekróla. Warto tu zresztą powtórzyć i ten fakt budujący, że biskup tamtejszy, skoro się tylko dowiedział o kradzieży, przysłał do Sobieskiego, prosząc, żeby »nie instygował na gardło gospodyni córce... iż jutro rano biskup da tyle pieniędzy swoich, ile mu zginęło«. »Odpowiedziałem mu krótko«, dodaje Sobieski, »że nie pragnę ja krwi tych ludzi, jeno swoich pieniędzy«. Nazajutrz przyniósł mu koniuszy biskupa całą sumę, która mu zginęła.

Są w tych zapiskach Sobieskiego[2]) i inne szczegóły zajmujące, w ogólności jednak trzeba o nich powiedzieć, że są zbyt krótkie i niedokładne i prawie nic nie mówią o życiu i obyczajach Hiszpanów ani o dziełach sztuki, oglądanych przez autora.

W tym samym wieku 17-ym jeździli do Hiszpanii: Jędrzej Czarnecki, burgrabia krakowski, mentor i towarzysz podróży po Europie królewicza Władysława (później króla), Szczęsny Działyński (syn podkomorzego chełmińskiego), X. Piotr Koryciński, proboszcz jeneralny miechowski i archidyakon pułtuski (w legacyi r. 1680) i X. Jędrzej Chryzostom Załuski, późniejszy kanclerz kor. i biskup warmiński, który po śmierci króla Michała odwoził do Madrytu tegoż order złotego runa (w r. 1673). Pozostawił on pierwszy z pomiędzy naszych rodaków drukowany opis podróży do Hiszpanii w swoich »Epistolae historico-familiares« (Tomus primus. A morte Ludovicae Reginae et abdicatione Regis Joannis Casimiri, Regum Michaelis I. et »Joannis III. acta continens«. Brunsbergae. 1709. In folio. Str. 508—522). Są tam rzeczy ciekawe i zabawne, — szkoda tylko, że autor nie opowiedział więcej z tego, co widział i słyszał w Hiszpanii i portugalii.

Załuski otrzymał w tym czasie godność kanonika krakowskiego, nie będąc jeszcze księdzem (miał lat 23 por. str. 515), poczem udzielił mu książę Floryan Czartoryski, arcyb. gnieźnieński, święceń niższych, zanim go wyprawił jako prymas królestwa zastępujący króla podczas interregnum, w charakterze posła do Madrytu. Załuski wybrał się w podróż konno w towarzystwie Melchiora Gurowskiego (późniejszego kasztelana poznańskiego) i sześciu pachołków, przez Bordeaux i San Sebastian. Przybywszy do Madrytu, nie zastał tam dworu królewskiego, który przepędzał czas wiosenny w pobliżkiem Aranjuez, a ponieważ dwór nie przyjmował posłów zagranicznych nigdzie indziej jak tylko w Madrycie (dokąd miał powrócić dopiero za 3 lub 4 tygodnie), więc Załuski pojechał tymczasem do Portugalii. Po drodze przenocował w miejscowości Badajos w gospodzie, w której (jak w wielu innych) nic do jedzenia nie dostał. Kazał więc służącym nakupić jakichś wiktuałów, a ponieważ nie mogli dostać potraw postnych, dlatego, chociaż to był dzień postny, udzielił sobie, zniewolony koniecznością (jak pisze) i swoim towarzyszom dyspenzy i kazał sporządzić »fricas« z pieczonych gołąbków. Kiedy na drugi dzień miał jechać dalej i zapytał gospodarza, ile mu się należy za nocleg, zażądał ten aż 5 piastrów (tj.

[1]) X. Franciszek Siarczyński »Obraz wieku panowania Zygmunta III.« itd. (Poznań 1850. Tom II. Str. 274). O »sumach neapolitańskich« tamże str. 280—282.

[2]) »Dwie podróże Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana III., odbyte po krajach europejskich w latach 1607—13 i 1638. Wydane z rękopisu przez Edwarda Raczyńskiego« (Poznań 1833. Stron 227). Na str. 105 tak pisze nasz podróżnik o królestwie Leońskiem: »kraj tam dziwnie kamienisty, skalisty, górzysty, nieurodzajny i bardzo tęskliwy dla pustyni swej tym, co go przejeżdżają«. O Asluryi zaś czytamy tamże: »Jest też to królestwo w Hiszpanii, ale tak do jechania przykre, jako i królestwo leońskie, jeżeli jeszcze nie przykrzejsze, że się aż plwać chce, jadąc przez tamte góry, skały, przez tamte pustynie, to jednak wesołość czyni, że jechać trzeba po nadmorzu, morze się zawsze widzi i skały i góry«. Za to unosi się, jak można się było spodziewać, nad pięknością Andaluzyi: »Skorośmy wjechali do Andaluzij (sic), nadgrodziła tęsknicę oczom piękność i wesołość, obfitość i żyźność tego kraju, najprzód wjechaliśmy w bardzo gęste wsie i miasteczka ludne, jakoż to jest kraj w Hiszpanii najludniejszy, gdzie spojrzysz, tam lasy cytrynowe, oliwne drzewa, cyprysowe, daktylowe, winnice kosztowne, jakoż wino się tam rodzi najprzedniejsze. Po owej pustyni, po owych piaskach, cośmy po nich jechali, niemal tydzień, zdało mi się, żeśmy do raju wjechali« (str. 112).

przeszło 5 talarów niemieckich). Żądanie to rozdrażniło Gurowskiego, który nie szczędził słów, karcących chciwość Hiszpana; ten jednak w odpowiedzi zażądał 10 piastrów a w dalszym ciągu kłótni podwyższał ciągle kwotę niby mu należną aż do 50-u, dodając do tego groźbę, że oskarży podróżników naszych przed inkwizycyą z powodu, iż w dzień postny jedli potrawy zakazane. Groźba ta zaniepokoiła Załuskiego; nie obawiał się wprawdzie kary, jako poseł zagraniczny, ale obawiał się kosztów, nieprzyjemności i straty czasu, wiedząc, że Hiszpanie załatwiają wszystkie sprawy w tempie bardzo powolnem. Zaczął więc innym przemawiać tonem do właściciela gospody; tłumaczył się koniecznością i ofiarował mu uprzejmie kilkanaście talarów, które ten wreszcie przyjął. Ale kanonik krakowski i towarzysz jego p. Melchior postanowili dać bezczelnemu Hiszpanowi nauczkę w sposób staroszlachecki: namówili go, obiecując mu osobne za to wynagrodzenie, że ich przeprowadził po za bliską granicę, gdzie go porządnie obili »scuticis Tartaricis« — oczywiście w jakiemś miejscu odludnem!

Dokonawszy tego »chwalebnego, jak sądzili« (pisze Załuski) »czynu«, pospieszyli do Lizbony. »Sekretarz stanu«, do którego zgłosił się nasz poseł, nie wiedział nic o Polsce i myślał, przeczytawszy list jego uwierzytelniający, że przysłało go miasto Colonia! Nowym dowodem ignorancyi ministra portugalskiego było zapytanie, czy Londyn jest w Anglii czyli też Anglia w Londynie? (nazwiska jego nie wymienia Załuski »per honorem«). Na dworze królewskim przyjęto Załuskiego grzecznie, ale zawiodła go nadzieja, że będzie mógł jakiś zasiłek pieniężny dla Polski uzyskać na wojnę z Turkami. Próbował zaś wszelkich środków, żeby tylko usposobić przychylnie ministrów dla swojej prośby a między innymi użył także pośrednictwa ksieni pewnego klasztoru Benedyktynek, o którym opowiada historyjkę następującą: zakonnice podzieliły się tam na dwa stronnictwa, między któremi toczył się spór zacięty o to, czy Jan Chrzciciel, czy Jan Ewangelista większym jest Świętym! Otóż dowiedziawszy się, że ksieni stoi po stronie św. Jana Chrzciciela, oświadczył się za tym na jej zapytanie i nasz kanonik, żeby ją sobie pozyskać. (C. d. n.).

Uniwersytet we Fryburgu szwajcarskim.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli porównamy początki uniwersytetu z obecnym jego stanem, widać rozwój ogromny:

W semestrze 1889—1890 wykładano na wydziale prawnym 7 przedmiotów. Obecnie posiada on 42 katedry.

Wydział filozoficzny miał w semestrze 1899—1890 przedmiotów 17, a w semestrze 1907—1908: 25 (z których dwa miały po 2 katedry).

Na wydziale teologicznym w semestrze 1890 wykładano 13 przedmiotów teologicznych; w semestrze 1907—1908: 21 a mianowicie następujące: De Dogmatica speculativa. De Morali speculativa. De Dogmatica positiva. De Morali practica. Introductio specialis in Scripturam Sacram. Exeg. Veteris Testamenti. Archeologia biblica. Introductio generalis in scripturam sacram. Apologetica. Jus canonicum. De Historia Ecclesiastica (2 katedry). Patrologia. Archeologia christiana. Theologia pastoralis. Liturgia.

Prócz tego przedmioty filozoficzne: Logica, Ontologia, Geschichte der mittelalterlichen Philosophie. Criteriologie. Theologia naturalis. Histoire de la philosophie grecque.

Wydział przyrodniczy w semestrze 1896 posiadał 8 katedr, a w semestrze 1907—1908: 17.

Prócz wykładów odbywają się ćwiczenia praktyczne. na wydziale teologicznym: Seminar für Exegese. Exercices pratiques d'apologétique. Exercices pratiques de dogmatique. Ex. pr. de théologie morale. Canonistisches Seminar. Sém. d'histoire eccl. Sem. für Patrologie u. christl. Archäologie. Sem. für geistliche Beredsamkeit u. Katechetik. Sem. für Theorie u. Praxis der Kirchenmusik. Philosophisches Seminar. Nadto są seminarya na wydz. prawnym, filozoficznym i przyrodniczym.

Są też praktyczne wykłady języków: francuskiego, angielskiego, włoskiego i niemieckiego, a być może, że skutkiem żądania Biskupów amerykańskich, wysyłających swoich kleryków do Fryburga, Uniwersytet otworzy w roku przyszłym także praktyczny kurs języka polskiego.

Przy uniwersytecie istnieje biblioteka, jedna z większych w Szwajcaryi. W roku 1889, t. j. w chwili założenia uniwersytetu, Fryburg posiadał bibliotekę kantonalną, liczącą 40.000 tomów, złożoną głównie ze zbiorów Collège St. Michel i z książek, zabranych po skasowanych w r. 1848 zakonach. Do biblioteki kantonalnej postanowiono przyłączyć bibliotekę uniwersytecką. W ciągu lat kilkunastu, t. j. od założenia uniwersytetu, biblioteka wzrosła ogromnie, tak, że obecnie liczy 130.000 tomów. Dotychczasowe pomieszczenie w Collège St. Michel okazało się niewystarczającem, wobec czego postanowiono wybudować gmach osobny.

* * *

Nie można się dziwić, że młody uniwersytet natrafił w swoim rozwoju na trudności i przeszkody. Jedną z poważniejszych była głośna w r. 1898 sprawa niemiecka.

Przed otwarciem uniwersytetu jeden z głośniejszych działaczy społecznych Dr. D. otrzymał od rządu kantonalnego polecenie zaproszenia różnych uczonych do objęcia katedr w nowopowstałej uczelni. Chętnych znalazło się dosyć, szczególniej wśród Niemców. Gdy przyszło do podpisania umowy, w której powiedziano, że uniwersytet angażuje profesorów na lat pięć, powstało mocne niezadowolenie, które ciągle wzrastało tem bardziej, gdy rząd fryburski odmówił zmiany ustaw, odnoszących się do służby państwowej.

Wiadomo bowiem, że szwajcarskie prawo związkowe nie pozwala nikogo wogóle mianować na posadę rządową na przeciąg całego życia; fryburskie zaś prawo kantonalne ogranicza ten czas do lat pięciu, pozwalając jednak bez dalszych ograniczeń umowę odnawiać.

Z drugiej zaś strony rząd niemiecki odrazu zajął nieprzychylne stanowisko wobec uniwersytetu, założonego w kantonie katolickim. Niejeden więc Niemiec, powołany do Fryburga, czekał tylko sposobności, żeby uniwersytet,

niemile w jego ojczyźnie widziany, opuścić, narobić wrzawy i wrócić do swoich w aureoli bohaterów, cierpiących za niemieckość. Najlepsza sposobność zdarzyła się za czasów rektoratu prof. J. Kowalskiego. Na wydziale filozoficznym piastował profesor świecki, Niemiec, katedrę języka hebrajskiego, a jeden z Ojców Dominikanów (Czech) uczył praktycznie hebrajskiego na wydziale teologicznym, żeby ułatwić teologom czytanie Pisma św. Ta rzekoma »konkurencya« nie podobała się 8 profesorom Niemcom i ci, po poprzednich napaściach i różnych insynuacyach, czynionych pod adresem OO. Dominikanów, postawili uniwersytetowi ultimatum, że albo ów ksiądz przestanie uczyć jęz. hebrajskiego, albo oni wszyscy z Fryburga wyjadą. Pomimo, że dla uniwersytetu taka demonstracya, jak opuszczenie tylu katedr, mogło pociągnąć najfatalniejsze skutki, jednak zarówno rektor jak i rząd kantonalny energicznie stanęli w obronie sprawiedliwości i dymisyę owych profesorów przyjęli. Co najciekawsze w tej sprawie, — profesor, o którego koledzy kruszyli kopie, został na stanowisku swojem, nie czując się widocznie osobiście pokrzywdzonym. Rozprószeni po całej ojczyźnie niemieckiej, byli profesorowie uniwersytetu fryburskiego, podnieśli gwałt, że cierpią prześladowania za swoją narodowość i że uniwersytet nic nie wart, bo znajduje się w rękach Dominikanów, którzy trzęsą nawet rządem fryburskim.

Oczywiście echa zatargu rozeszły się wszędzie i ogół uwierzył owym profesorom. U nas niechęć i uprzedzenie do uniw. fryb. odbiło się także w fundacyi stypendyjnej im. Osławskiego: testator bowiem pozwala studentowi-stypendyście korzystać z każdego uniwersytetu w Europie, prócz fryburskiego. Dalej w »Poradniku dla Samouków« znajdujemy tendencyjnie fałszywe przedstawienie charakteru uniwersytetu. Wszelako o wartości jego świadczą korzystnie już same nazwiska jego profesorów:

Otóż w roku 1907/8 wykładali na wydziale teologicznym: Prof. N. de Prado O. P., Prof. J. de Langen Wendels O. P., Prof. R. Fei O. P., Prof. M. Rollmann O. P., Prof. V. Zapletal O. P., Prof. B. Allo O. P., Prof. A. M. Weiss O. P., Prof. Fr. Speiser, Prof. P. Mandonnet O. P., Prof. J. P. Kirsch Mgr., Prof. J. Beck, Prof. książę Maksymilian Saski, Prof. G. Mauser O. P., Prof. R. Schlinkker O. P., priv. doc. M. Knar O. P.; na wydziale prawnym: Prof. J. B. Jaccond, Prof. G. J. Liesker, Prof. P. Tuor, Prof. P. Fietta, Prof. R. Zehntbauer, Prof. C. Clerc, Prof. H. Oser, Prof. Fr. Philippona, Prof. K. Scheimpflug, Prof. A. v. Overbeck, Prof. E. Bise, Prof. M. Pedrazzini, Prof. U. Lampert, Prof. F. Hauptmann, Prof. G. Gariel, Prof. G. Ruhland, Prof. A. Kostanecki, Prof. H. Schorer, Prof. M. Turmann, Prof. A. Favre.

Na wydziale filozoficznym: Prof. M. de Munnynek O. P., Prof. L. Michel O. P., Prof. F. van Canwelaert, Prof. H. Grimme, Prof. J. J. Hess, Prof. A. Roussel, Prof. A. Piccardt, Prof. P. de Labriolle, Prof. R. v. Ettmayer, Prof. G. Bertoni, Prof. V. Giraud, Prof. M. Masson, Prof P. Arcari, Prof. Pr. Lessiak, Prof. W. Kosch, Prof. St. Dobrzycki, Prof. F. Fr. Leitschuh, Prof. P. Wagner, Prof. F. Steffens, Prof. J. Zeiller, Prof. G. Schnürer, Prof. A. Büchi, Prof. R. Decurtius.

Na wydziale przyrodniczym: Prof. Fr. Daniels, Prof. J. Kowalski, Prof. A. Gockel, Prof. A. Bistrzycki, Prof. M. de Thierry, Prof. T. Estreicher, Prof. H. Raumhauer, Prof. R. d. Girard, Prof. J. Bruhnes, Prof. P. Girardin, Prof. A. Ursprung, Prof. L. Kathariner, Prof. Ch. Dhéré, Pr. d. J. Calcmont, Pr. d. H. Breuil.

Według narodowości jest: Szwajcarów 17, Francuzów 16, Niemców 15, Austryaków 8, Polaków 5, Belgów 3, Włochów 3, Holendrów 3, Luksemburczyk 1, Węgier 1, Czech 1, Hiszpan 1, razem 74.

Wśród tych jest: zakonników 13, księży świeckich 9, prof. świeckich 52. (Dok. nast.).

Patrzmy głębiej!

Ciąg dalszy.

W szkole, którą powinien być dom, rola ojca i matki jest równoznaczną. Powie ktoś, że ojciec, zajęty w biurze lub pracą zawodową na zajmowanie się dziećmi nie ma czasu. Jest to czcza wymówka! Ojciec nie potrzebuje rozdawać jedzenia, łatać i cerować, ale wolne godziny może i powinien dziecku poświęcić, powinien je uczyć życia chrześcijańskiego słowem i przykładem. Gdy tego nie czyni, gdy syn nie widzi nigdy ojca na Mszy św., ani spowiadającego się i przystępującego do Stołu Pańskiego, gdy widzi w jegu ręku książki liberalne, a nie widzi nigdy religijnej, gdy ojciec o religii i pobożności nigdy synowi nie mówi, zostawiając to matce i katechecie, gdy — słowem — chłopiec dorastający widzi, że religia ojca nie interesuje — w jego życiu żadnej roli nie odgrywa, że ten ojciec spełnia może gorliwie i sumiennie swe obowiązki obywatelskie, ale nie spełnia tych, które Kościół na niego nakłada, cóż dziwnego, że ten syn nabiera przekonania, że życie religijne, pobożność, to rzecz dobra dla księży, dla kobiet, ale dla niego to niepotrzebne. Jakże wielu chłopców naszych mogłoby zadać matce to samo pytanie, które tak mądrze kładzie w usta synka Bougaud: »Mamo! kiedy ja będę tak dorosłym, że będę mógł tak nigdy się nie modlić, jak papa?«

Może niejeden z ojców, czytając to, zawoła: — »To przesada! — Przecież nie mogę tylko chodzić po kościołach, mam co innego do roboty, nie będę z 16-letnim chłopcem mówił razem pacierza, ani z nim razem chodził do spowiedzi!« Może niejeden powie: — »Ja nie chcę, żeby chłopiec był dewotem, ale żeby był porządnym człowiekiem«. Dobrze, ale pomiędzy »dewocyą« a życiem chrześcijańskiem, a spełnianiem przykazań kościelnych jest przestrzeń daleka. Ten chłopiec, jeśli nie nabędzie w domu pobożności, porządnym człowiekiem nie będzie. On utraci wiarę w 16-tym roku życia, czystość w 17-tym, zdrowie w 18-tym, on może mimo to zostanie przyjętym do urzędu i będzie »porządnym człowiekiem« o tyle, że do biura będzie regularnie chodził i że nie będzie kradł. Ale czy to wystarcza na to, aby być zbawionym? Gdzież życie nadprzyrodzone, którego Bóg od nas żąda?

Wielu ojców nie tylko przykładu życia chrześcijańskiego nie daje, ale wogóle za mało dziećmi się zajmuje. Jeszcze póki chłopiec mały, ojciec prowadzi go czasem na przechadzkę, uczeń gimnazyalny najczęściej chodzi już sam, gdzie i z kim mu się podoba. Tymczasem przychodzą lata dojrzewania. Ileż złego mógłby uchylić rozumny i oddany dzieciom

ojciec, czuwając nad rozwojem chłopca i przychodząc mu z pomocą z odpowiedniem do chwili i potrzeby uświadomieniem! Wszak szkoła jest do tego wprost niepowołaną, matce nieraz to trudniej przychodzi, ojciec może to spełnić najlepiej. On może i powinien chłopca znać, więc to uświadomienie najlepiej może dostósować do potrzeby tak, jak tego nie dokona nikt inny. Takie uświadomianie nie popsuje, tylko złemu zapobiegnie, a ojca do syna zbliży w tych latach, w których chłopiec rozumnego przyjaciela najwięcej potrzebuje. Brak zaufania do ojców sprawia, że chłopcy wpadają w nałogi, o których przez całe lata nikt nie wie; a zdarza się i to, że gdy się ojcu myśl tę podsunie, on odpowiada: »Jakże ja o tem z nim będę mówił?« Zapewne, że kto się chłopcem nie zajmował, z nim w sposób poufały nigdy nie rozmawiał, potem wziąć się do tego nie umie. I chłopiec, mający rodziców, marnuje siły fizyczne i duchowe, nieraz przemarnuje, a nikt mu ręki nie poda, nie podadzą jej ci, których do tego Bóg powołał. Późno przychodzi do domu, w szkole się zaniedbuje, ojciec przybiera srogą minę, ale po przyjacielsku, z miłością i powagą nie pyta, nie tłumaczy, nie wpływa, co najwyżej, wydaje zakazy surowe. Ale chłopca serce już daleko od ojca, który mu go mało okazywał, miłość nie dopomaga mu do posłuszeństwa, więc szuka tylko sposobu, aby zakaz obejść.

Chłopiec zaczyna się zajmować polityką lub sprawami społecznemi, schodzi na błędne drogi, ojciec się gniewa, jest z niego niezadowolony, ale czemuż to od lat pojęć chłopca nie urabiał, nie rozmawiał z nim o wielu rzeczach, czemuż, po prostu powiedziawszy, nie trzymał tej młodej duszy w ręku? Wzięli ją w ręce inni, poprowadzili na manowce, bo chłopiec szukał poza domem tego, czego w domu nie znalazł. A w 18-tym, 19-tym roku życia zacząć oddziaływać, to zapóźno. Węzły między duszą ojca a syna nie zawiążą się już, młodzieniec będzie sobie tylko przekpiwał z tego, co mówi »stary!«

Synowie do ojców zaufania nie mają, nie wiedzą wprost o tem, że w nich mają jedynych prawdziwych przyjaciół. Synów uniewinniać nie myślę, ale i ojcowie winni temu bardzo. Nie czas zwracać uwagę na postępowanie syna dopiero wtedy, gdy trzeba płacić za niego długi, lub dać pieniądze na kuracyę chorób złem życiem spowodowanych, w chwili, gdy się już dłużej ukrywać nie dają.

W ten sposób nieraz jeden z dwu najważniejszych, najistotniejszych czynników wychowawczych, którym jest ojciec, niemal odpada, lub wpływ jego maleje ad minimum, cóż więc dziwnego, gdy wychowanie kuleje? Pozostaje drugi z nich — matka.

Ojciec pracuje na utrzymanie rodziny, spędza większą część dnia poza domem. Matka ma strzedz nieustannie ogniska domowego. Wszystko, co bez koniecznej potrzeby odciąga ją od domu i od obowiązków względem dzieci, od poświęcenia się synowi 1½ czy 20 letniemu, jest wprost złem. Im większe bowiem współżycie, łączność myśli, im ściślejszy związek duchowy, tem trudniej syn go zerwie. I społeczna działalność kobiet (czytelnie, tanie kuchnie, posiedzenia etc.), powinna moim zdaniem spaść głównie na te kobiety, które rodziny nie mają, lub których dzieci wyszły z domu. Każda bowiem chwila ujęta domowi, przynosi szkodę podstawie społeczeństwa tj. rodzinie, rozluźnia ją. A kto młodzież zna, ten wie, że syn 20-letni nie mniej matki potrzebuje, jak 12-letni. Ktoby sądził inaczej, błądzi. Często potrzeba ta jest jeszcze większa, bo niebezpieczeństwo większe. Stosunek nieustanny z matką, długie z nią pogawędki, przywiążą syna do domu, odciągną od knajpy. A ileż to pojęć trzeba i można sprostować, ile spraw omówić! A sama ciągła troska o niego, praca dla niego, niewidzialnie oddziałują. Syn dorastający, gdy w matce znajdzie towarzyszkę i powierniczkę, nie będzie się w domu nudził i nie będzie z domu uciekał.

To, co powiedziałem o synach dorastających, odnosi się tem bardziej do małych. Jeśli dziecko ma się dobrze rozwijać, ojciec i matka muszą się niem zajmować od maleńkiego. Bony ani guwernantki, ani nawet najlepsze pensyonaty, skutecznie ich nie zastąpią, a nieraz dziecko zepsują. Intenzywniejsze zajęcie się chłopcem, gdy ma lat 10, jest już spóźnione. Wychowywanie musi się zacząć z urodzeniem się dziecka i zawsze rodzice powinni pamiętać o słowach Chrystusa Pana: »vigilate et orate!«

Niestety rzadko tak bywa.

Częściej ojcowie uważają, że spełnili wszystko, gdy kupią chłopcu nowe ubranie, książki, zapiszą go w szkole, nieraz nie pytają więcej o niego, posyłają tam matki. Z profesorem mówią dopiero wtedy, gdy dwójka leci z góry jak lawina!

Wtedy gniew, niezadowolenie, a kto temu winien? Zapewne, że chłopiec, bo się nie uczył, ale czemuż w domu go nie pilnowano, czemuż kontakt między domem a szkołą nie był utrzymany?

Nieraz też matki ulegają prądowi czasu i 15-letniego chłopca zaczynają uważać za dorosłego młodzieńca, pozwalają na wyłamywanie się z pod karności domowej, nie mają dość — śmieszne to powiedzieć — śmiałości, do skrępowania samowoli młodzieńca, który spędza dużo czasu po za domem, chodzi, kiedy mu się podoba, do teatru, bywa na tańcach i wieczorkach, a zawsze wyelegantowany, wysznurowany, jak z żurnalu wycięty.

A skoro chłopiec ten brak śmiałości zauważy, zacznie być wobec matki zuchwałym, nieposłusznym i powoli staje się takim, jakich niestety wielu widzimy! Inne kraje: Niemcy, Szwajcarya, Anglia, tego typu uczniów gimnazyalnych dandysów nie znają; tam podobne usposobienie młodzieży zaczyna się rozwijać znacznie później. (C. d. n.)

X. Dr. A. Podwin.

Nieznane dotąd poezye Mickiewicza[1]).

Pracowity i słusznie wysoko ceniony historyk literatury naszej, prof. Kallenbach nabył niedawno z polecenia Akademii Umiej. w Krakowie »archiwum filomatów«, w którem znajdują się nieznane dotychczas utwory młodzieńcze Mickiewicza. Wiersze te rzucają całkiem nowe światło na początki rozwoju duchowego poety i dlatego muszą obudzić zainteresowanie powszechne. Oto dowodzą one przedewszystkiem, że do pisarzy, którzy na młodego Mickiewicza wywarli wpływ największy, należał — niestety! — także Wolter. Już w kilka dni po inauguracyjnem posiedzeniu Towarzystwa Filomatów, tj. 17. paźdz. 1817 »Tomasz Zan czytał dane mu pod kry-

¹) Por. »Pamiętnik Literacki«. Rocznik VII. Zeszyt 1 i 2. (Lwów 1908. Str. 75—89).

tykę Adama Mickiewicza pismo wierszem: Mieszko, Dziedzic Nowogródka«. Utwór ten przypomina bardzo Woltera: »L'éducation d'un prince«, którego jest naśladowaniem. Treść jego jest w krótkości następująca: Żył na Litwie przed Jagiełłą, Mieszko, dziedzic Trok i Nowogródka (postać nie historyczna). Był on chowany w ciemności i głupocie przez dwu faworytów i spowiednika. Zakochał się w pięknej Zyli i chce się z nią ożenić, ale temu przeszkadza biskup i wypędza z dworu Zylę. Wnet potem napada na Nowogródek Mamaj, wódz Tatarów, który bierze do niewoli Mieszka i każe mu służyć w stajni swojej jako pachołkowi. W porozumieniu z Zylą i starym rycerzem Porajem uzbraja Mieszko szlachtę okoliczną, zdobywa napowrót Nowogródek i bierze do niewoli Mamaja, puszcza go jednak wolno, wbrew radom nadwornego mnicha i przyrzeka, że mu przybędzie na pomoc, gdyby go kiedyś miały obsiąść »Eunuchy, Mołny, Derwisze i ssać krew jego ludu«.

Widoczna tu jest tendencya »antyklerykalna«. Kiedy mnich namawia Mieszka, żeby zabił Mamaja, odpowiada mu książę, jego wychowanek:

»Łotrze, coś mię chciał wydrzeć szczęściu, cnocie i ko-
[chance,
Ucząc gubić cnotliwych i paplać różańce!«

Zależność od Woltera widoczna jest w całym poemaciku, równie jak w dwóch innych, odkrytych przez prof. Kallenbacha: w powiastce p. n. »Pani Aniela«, czytanej 25. listopada 1817 na posiedzeniu Filomatów, opowiada poeta naśladując wiersz Woltera p. n. »Gertrude ou l'Education d'une fille«, o »wdowie, która udaje świątobliwą w oczach dorastającej córki, aż przypadek zrządza, że córka Zuzia podsłuchała schadzkę miłosną matki i zachęcona przykładem, sama niebawem wstępuje w jej ślady«. W roku zaś 1818 powstał utwór heroi-komiczny, zatytułowany »Kartofla«, który, jak się zdaje, pozostał fragmentem. Treść jego jest następująca: Okręt Kolumba, płynący do Ameryki, ugrzązł na mieliźnie za sprawą Neptuna. Jehowa,

»Którego czoło wzniosłe nad wieczności stropy,
A ćmy słońc, ziem i niebios krążą mu u stopy«,

(wiersz, zapowiadający już wielkiego poetę) zwołuje niebian, żeby naradzić się z nimi nad zamiarami Kolumba. Schodzą się Aniołowie i Święci. Św. Dominik oświadcza się za odkryciem Ameryki, ale i w tem miejscu znajdują się słowa, które dowodzą uprzedzenie i niechęci młodego autora do Kościoła a w szczególności do zakonu kaznodziejskiego:

»Hasłem jego« (św. Dominika) »krzyże, tortury i wojna,
On żywcem Albigensy wypalał kacerze«.

Przeciw odkryciu Ameryki przemawiają św Piotr i św. Stanisław Kostka. W środku stoi św. Michał, trzymając wagę, na której jedną szalę rzuca św. Dominik korzyści z odkrycia Ameryki, — na drugą zaś szalę spływa krew i potoki łez, które przelane będą przy zdobyciu nowej części ziemi. Szale stają w zupełnej równowadze, — w tem św. Dominik wyjmuje z zanadrza kartoflę pieczoną i rzuca ją na swoją szalę, dając jej przez to przewagę (tu wplecione są pochwały kartofli). Spór jest rozstrzygnięty — odkrycie Ameryki postanowione.

W czasie tych obrad grozi już na dole Kolumbowi śmierć z rąk jego zrozpaczonych towarzyszy, którzy mu zarzucają, że zawiódł ich nadzieje. Ale oto na pokład okrętu sypie się miazga z ziemniaka, rozgniecionego w niebie przez św. Dominika, zwiastując Kolumbowi bliskość lądu. W tej chwili okręt porusza się z miejsca i płynie dalej, a żeglarze proszą o przebaczenie swojego wodza, który w rozradowaniu swojem każe oprawić kartoflę w złotą obrączkę i zawiesza ją na wstędze u piersi.

Na tem kończy się zachowana pieśń pierwsza (całość miała składać się z 4-ech pieśni). Znać tu jeszcze wpływ Woltera, ale już nie w tym stopniu, jak w poematach, wymienionych powyżej; już umysł poety zaczyna zaprzątać inna, wyższa idea, wyrażona w proroctwie Archanioła Rafaela:

»Nie dość zważać, co było, zważmy, co się stanie:
Pięćset kręgów za słońcem nie obieży ziemia,
Patrzcie, jaka noc gruba Europę zaciemnia!
Zewsząd płacz, narzekanie, jęk rozległ się głuchy:
Palą się krwawe stosy, brząkają łańcuchy.
Spędzona groźnym trzaskiem samowładców bicza,
Rąbie się o ich krzywdę trzoda niewolnicza.
Patrzcie! zdala wędrowiec na tej przybił stronie;
Ze łzami przez nasute gruzem stąpa błonie,
Z pewnością mu rozwaga nie odgadnie pilna,
Kędy stały Paryże, Londyny i Wilna.
Wtenczas nad światem nowym swobód gwiazda błyśnie,
Cnota się i nauka pod jej promyk ciśnie,
Mnisze więzy, despotów złamią się postrachy.
Złoty Kapitol wolne utkwi w niebie dachy,
Przed nim naród zdumionych ziemian na twarz padnie,
A Lud-Król berłem równym uległych zawładnie.
Do stóp twoich (może: swoich?) tyrany staroświeckie pognie
I z wolnej skry w Europie nowe wznieci ognie«.

»Najniespodziewaniej« dodaje tu p. Kallenbach »ten poemat heroi-komiczny z fantazyi żartobliwej w przechodzi nastrój poważny. Łamie się i kruszy na zawsze wpływ Woltera, aby dać miejsce samodzielnym rzutom myśli, która już tutaj marzy o przyszłej wolnej Europie i konsekwetnie, chwaląc Lud-Króla, dojdzie po 30 latach do Trybuny Ludów«.

Ale jeszcze jedna z robót młodzieńczych Adama świadczy o wielkiem upodobaniu, jakie miał w owych latach w negacyi, szyderstwie i sceptycyzmie Woltera: zaczął on tłumaczyć ohydny tegoż paszkwil, szkalujący Dziewicę Orleańską, czyli jak ją z polska przezwali Filomaci »Darczankę« (Jeanne d'Arc)! Na szczęście przekład nie jest skończony.

Rozumie się samo przez się, że niespodziewane te odkrycia nie mogą cieszyć katolików wierzących a w szczególności nie możemy pragnąć, żeby młodzież rozczytywała się w tych pierwszych, niedojrzałych jeszcze płodach Muzy wielkiego poety. Nie przemawiamy też za wydaniem w całości ani »Mieszka« i »Kartofli«[1]), ani innych wierszy tego rodzaju, które może znajdują się w »archiwum Filomatów«, a których sam poeta ogłosić nie chciał w czasie, kiedy już zaczął myśleć głębiej i poważniej. W każdym jednak razie mają te poezye wielkie znaczenie dla biografii Mickiewicza i dla dziejów naszego piśmiennictwa. *P.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

Dziennik Polski w rękach żydowskich. Taktyka żydowska na

Via Wiedeń dowiadujemy się, że Dziennik Polski, dotychczas własność p. Ostaszewskiego, przeszedł w ręce żydowskie. Mamy więc we Lwowie już trzeci organ polski w rękach ży-

[1]) Rękopisy tych utworów są własnością córki śp. Aleksandra Mickiewicza, która przyrzekła Ojcu swemu, że nie zezwoli na ogłoszenie drukiem całego ich tekstu (str. 78).

Bukowinie. Dr. Sellin a prasa socyalistyczna. Krok naprzód. Cenne wyznanie Wahrmunda. Smutny proces.

dowskich. Nie mówiąc już o „Głosie" socyalistycznym najzupełniej opanowanym prez „towarzyszy" żydowskich a la Diamand, należy obecnie z dzienników lwowskich do żydów „Kuryer Lwowski", ten niby organ ludowcowy, dalej „Wiek Nowy", a obecnie „Dziennik Polski", do niedawna katolickie i szczerze polskie pismo. Żal ściska serce patrząc na coraz większy wpływ żydowski na nasze dziennikarstwo i co za tem idzie na coraz większy wpływ ich na naszą niestety niewyrobioną opinię publiczną. Gwałtowną naprawdę okazuje się potrzeba pisma codziennego katolickiego, któreby tą krecią robotę „obywateli wyznania mojżeszowego" kontrolowało i myśl katolicką stale a mądrze propagowało. Inaczej grozi nam zupełne zżydzenie.

Wspomnieliśmy już kilkakrotnie o nowym ruchu ożywczym na Bukowinie, który zagraża poważnie żydowstwu rozpanoszującemu się w sposób iście fatalny na Bukowinie. Stronnictwo chrześcijańsko-społeczne dzielnie się tam spisuje i w swym organie jak i na licznych przez nie zwoływanych tam zgromadzeniach oświeca ludność o grożącem jej niebezpieczeństwie ze strony żydów, wyzyskujących ohydnie ten biedny kraj. Inde ira. Cała prasa żydowska w Wiedniu, jak i na Bukowinie powstała przeciw tym usiłowaniom. Ale to żydom nie dosyć. Podburza przeciw chrześcijańsko-socyalnym i Rumunów, sympatycznie do programu antysemitów się odnoszących. Kilka indywidyów niemiecko-narodowych odgrywa na Bukowinie tą samą rolę mydlenia oczu, co pewni dyrektorzy wyznania chrześcijańskiego w znanych szwindlerskich bankach żydowskich. Za marny pieniądz i inne korzyści zdradzają lud chrześcijański, dla którego dobra niby pracują. Daremny jednak trud; ruch raz wszczęty ma się już wstrzymać. Emancypacya Bukowiny od wpływów i wyzysku żydowskiego pójdzie swoim torem a lud uświadomiony pozna się łatwo na farbowanych lisach.

Profesor protestancko-teologicznego fakultetu w Wiedniu Dr. Sellin ma szczęście podobać się socyalistom. To też z okazyi powołania tegoż na katedrę do Rostoku, cała prasa socyalistyczna niebo i ziemię porusza by go w Wiedniu zatrzymać, najdziwaczniejsze rządowi podając myśli, byle się z nim nie rozstać. Zapomina przy tem nawet o walce przeciw teologicznym wydziałom, walce którą stronnictwo socyalistyczne uważa za jeden z ważnych punktów swego programu. Prawda, Dr. Sellin nie jest katolickim teologiem.

Dzięki nieustannej pracy i agitacyi ligi przeciw pojedynkowej uczyniono i w Austryi krok naprzód celem zwalczania tego średniowiecznego obłędu. Oto wyszedł niedawno dekret cesarski, który uniemożliwia w wojsku pojedynki dla błahych przyczyn, a inne prawdopodobnie mocno graniczy. Do zupełnego zniesienia pojedynku jeszcze daleko, ale nieda się zaprzeczyć, że i to rozporządzenie nie małe ma znaczenie w walce rozsądnych żywiołów, które widzą w niem początek końca tego społecznego raka jakim jest pojedynek, przeciw któremu walczy się obecnie na całej linii w Hiszpanii, Portugalii, Rumunii a po części i we Włoszech.

We Wiedniu odbył się proces, który odkrył całe bagno cuchnącego zepsucia wielkomiejskiego. Chodziło o ojca sprzedającego własne, młode jeszcze dziecko, dandysom świata arystokratyczno-plutokratycznego. Rzecz niestety nie tak niebywała w takich miastach jak Wiedeń, Berlin itp. Wyszły jednak na jaw przy tym procesie okoliczności, które mocno i policyę i samych sędziów kompromitują. Wszyscy uczęszczający do znanych lokalów wiedeńskich o tym szkandalu wiedzieli, właściciel jednego z nich czuł się nawet obowiązany tego kupczącego swą córkę wyrodnego ojca raz na zawsze ze swego lokalu wyrzucić. Nie wiedziała o tem tylko władza policyjna mająca nadzór nad tego rodzaju lokalami. Sędziowie nadomiar przy procesie uparcie ochraniali owych dandysów, bo ci do „wyższego" należą towarzystwa. W ten sposób chyba się nie walczy z tą ohydą. Salus reipublicae wymaga, by winni, choćby takowi do arystokracyi rodowej czy finansowej należeli, stanęli pod pręgierzem i wraz z wyrodnym ojcem nieszczęsnej ofiary, szukającej zapomnienia swej hańby w nurtach Dunaju, zasłużoną odnieśli karę. Tego nie uczyniono niestety, ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich uczciwie myślących.

Profesor Wahrmund boi się zapomnienia i dlatego od czasu do czasu przypomina się łaskawej pamięci protegującej go żydowskiej prasy wiedeńskiej. W jednem z pism wiedeńskich znajdujemy artykuł tego szanownego „uczonego", w którym wręcz przyznaje, iż w walce uniwersyteckiej nie chodzi o równouprawnienie związków studenckich katolickiej młodzieży, lecz o równouprawnienie katolickiego poglądu na świat z obecnie niepodzielnie na Uniwersytetach panującym liberalno-wolnomyślnym. Dalsze wywody prof. Wahrmunda, w których straszy świat czerwoną płachtą nietolerancyi katolickiej nie zmieniają w niczem wartości tego cennego wyznania. O co w tej walce chodzi, wiedzą dobrze katolicy i ich przeciwnicy, niechce tylko wiedzieć rząd austryacki, drżący ze strachu po przeczytaniu artykułu N. Fr. Presse, prawiącej o mniemanem zagrożeniu wolności nauki i podobnych frazesach. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa walka ta rozpocznie się z otwarciem Uniwersytetów na nowo a wtedy rząd będzie musiał zająć zdecydowane stanowisko. Stronnictwo Luegera, wedle głosów jego prasy, nie pozwoli mu odgrywać, jak dotychczas polityki strusiej.

Zabór rosyjski. Walka z katolicyzmem. Głos rosyjski o zjeździe prawosławnych misyonarzy w Kijowie. »Civilta Catholica« o położeniu kat kościoła w Rosyi. O. Palmieri ma głos!

Zjazd misyonarzy rosyjskich w Kijowie zajmował się przedewszystkiem walką z katolicyzmem i odpowiedne też powziął uchwały. Gdyby się rząd rosyjski — co w danych warunkach możebne — zastosował do tych uchwał, to położenie katolicyzmu i tak już nie wesołe, stałoby się wprost po ludzku rozpaczliwem. Prasa rosyjska zajmuje się obradami i uchwałami misyonarzy w Kijowie, a sprawiedliwość każe przyznać, że na ogół, mocno jest zeń niezadowolona. Stwierdza, jak słusznie konstatuje „Dziennik Powszechny", że zjazd przedstawia obraz takiego wyziębienia, takiego braku ducha chrześcijańskiego, że zwątpić można w przebudzenie się cerkwi, która tylko w opiece władzy świeckiej i pod jej strażą szuka obrony i oręża w walce z innymi wyznaniami. Nawet „Now. Wr." uważa za właściwe podkreślić jałowość duchową zjazdu, i w artykułach współpracownika swego Rozanowa, zowie uczestników zjazdu czcicielami form zewnętrznych i obrządków błyskotliwych, z których uleciał. Zaznacza też p. R. demagogiczność poglądów archireja wołyńskiego, jednego z najwybitniejszych w obecnej chwili przedstawiciela cerkwi urzędowej, który w ciemnocie i „pokorze" lada widzi najmocniejszą tej cerkwi podstawę. Lud łaknie pokarmu dla duszy, którego „misyonarze" dać mu nie mogą. Przeciwnie — kończy p. R. — składają się te dusze w ofierze formalistyce i zdaje się to wszystko jakby dalszym ciągiem owych ofiar krwawych, które składano niegdyś w Kijowie na ołtarzach bożków Peruna i Wołosa. Taki, dodajmy, jest wogóle duch cerkwi rosyjskiej i nie wiele się chyba można spodziewać po soborze cerkiewnym, jeśli wogóle będzie zwołanym, w czem rządowi rosyjskiemu nie spieszno.

Wychodząca w Rzymie „Civilta catholica", pismo nader wpływowe i inspirowane przez sfery do Watykanu zbliżone, umieszcza w jednym z ostatnich swych numerów korespondencyę z Rosyi, w której położenie Kościoła katolickiego przedstawia się w właściwy, na faktach najświeższej daty opartych, sposób. Dla nas szczegóły prześladowań i ograniczeń nie są czemś nieznanem i miło nam jednak spotkać się z niemi w piśmie, które ongiś podobne szczegóły nazwało kłamliwym wymysłem gazet galicyjskich.

O. Palmieri uczuł się dotkniętym zarzutami, jakie się nań z okazyi ogłoszonej „La Chiesa Russa“ w naszem piśmie jak i w „Czasie“ posypały. Ogłosił więc długą odpowiedź w krakowskiem piśmie konserwatywnem, w której głównie polemizuje z autorem w „Czasie“ ogłoszonych artykułów. Myśmy prawowierności O. Palmieri'ego nie tykali i zarzuty nasze nie sformułowaliśmy dlatego, że słowa franc. autora nas krzywdzące w swem dziele przytoczył, ale dlatego, że je akceptował i swoje, rzekomo na własnem doświadczeniu oparte, dodał. Nie mamy pod ręką wymienionego dzieła, lecz na żądanie O. Palmieri'ego możemy mu niebawem służyć dostateczną liczbą cytatów, aż nadto nasze zarzuty usprawiedliwiających. Wszystko co pisze w swej odpowiedzi O. Palmieri o niewłaściwem traktowaniu go przez niektórych członków naszego kleru, może być prawdziwe, ale to go nie uwalnia od głównego zarzutu, jakiśmy mu czynili, że mianowicie osądzał stosunki polsko-ruskie fałszywie i to na podstawie informacyi, zasięgniętych w sferach ruskich, do których się zbliżył, a nie starał się przed napisaniem owego ustępu, zbliżyć się na miejsce do naszego kleru, do którego wszak co do obrządku i on sam należy. Wymówka zwalająca winę na członka „Societatis Jesu“ jest, wobec kategorycznego zaprzeczenia Ojca Urbana — żadna. *Ks. J.*

Bibliografia.

P. Aurelio Palmieri O. S. A *„La Chiesa Russa, le sue odierne condizioni e il suo riformismo dottrinale“* (Dokończenie).

Ale po tym pięknym ustępie, tak mile przemawiającym do każdego serca polskiego, czytamy zarzuty ogólnikowe, nie poparte dowodami, a krzywdzące całe nasze duchowieństwo: oto autor powtarza za innymi twierdzenie, że kler polski w Królestwie nietylko nie jest zdolny do pracy apostolskiej wśród Rosyan, ale nawet on temu winien, że ci nawrócić się nie chcą. Księża bowiem nasi »nienawidzą« Rosyan, co zresztą da się wytłumaczyć psychologicznie, a nawet autor w swojej dla nas życzliwości przyznaje nam okoliczności łagodzące, stwierdzając, że traktowanie nas przez Rosyę nie mogło nas dla niej usposobić przychylnie (str. 727—729). »Trzebaby na to« czytamy na str. 729 »cnoty heroicznej, żeby Polacy, zapominając krzywd doznanych i dziś doznawanych, podali prawicę swoim nieprzyjaciołom i zawiązali przyjaźne z nimi stosunki!« Ale bądź co bądź nie może on zaprzeczyć temu, co napisał M. Scevola (pseudonim) w miesięczniku »Rome« (r. 1906 Nr. 35, str. 350): »Kler polski, który zdawałby się powołanym przez Boga do wywierania przeważającego wpływu religijnego w Rosyi, skazany jest przeciwnie na bezpłodność«. Dlaczego? Bo »Polacy nie chcą w żadne wchodzić związki z wrogiem odwiecznym, z Rosyaninem s c h y z m a t y k i e m i h e r e t y k i e m. Rusofobia Polaków w różny objawia się sposób: mówią z przesadą o błędach Rosyan, wyśmiewają najczcigodniejsze ich zwyczaje, ich ikony, ich obrzędy i księgi liturgiczne; starają się pogłębiać coraz bardziej przepaść doktrynalną między prawosławiem a katolicyzmem, zaprzeczając ważności kapłaństwa rosyjskiego i sakramentów, przez nie sprawowanych. Księża polscy to dumni fanatycy, nie chcą oni zniżyć się do tych Rosyan, którzy byliby szczęśliwi, gdyby mogli otworzyć swoje sumienie przed kapłanem katolickim; myślą oni, że słuchać spowiedzi w języku rosyjskim i głosić kazanie w tym języku, znaczy to wyrzec się katolicyzmu; ksiądz katolicki, który uczy się po rosyjsku i żyje w dobrych stosunkach z jakimś członkiem kleru prawosławnego, ściąga na siebie podejrzenie, że sprzyja schyzmie; ludzie wykształceni uważaliby to za skandal, gdyby ksiądz katolicki posługiwał się w rozmowie jęz. rosyjskim«.

Do tych słów pisarza francuskiego, które powtarza w dość wiernem skróceniu (porównaliśmy ustęp ten z oryginałem), dodaje od siebie O. Palmieri (na str. 723): »Cieszylibyśmy się, gdyby nasze doświadczenie osobiste pozwalało nam zadać kłam zarzutom, uczynionym przez pisarza francuskiego duchowieństwu polskiemu. Niestety fakta stwierdzają ich prawdziwość historyczną. Kler polski stawia zaporę zbliżeniu się Rosyi do katolicyzmu. Słusznie zauważył pisarz francuski, że nieszczęsne położenie polityczne Polski rosyjskiej nie pozwala klerowi polskiemu wywierać na Rosyan zbawiennego i przynoszącego owoce wpływu apostolskiego. Kler polski nie zdoła szerzyć katolicyzmu wśród Rosyan. Kler cudzoziemski, wolny od przesądów politycznych, spełniałby z lepszym skutkiem to posłannictwo. Ale przeciwko niemu stanęłaby może nienawiść albo raczej obojętność Polaków. Kapłan cudzoziemiec, któryby się zabrał, — ożywiony ideałami czystszymi i uczuciami bardziej nadprzyrodzonemi, — do zburzenia szranków, postawionych przez wieki pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem, — któryby chciał dowieść słowem i pracą apostolską, że katolicyzm jest dla rozumu pokojem a dla duszy życiem, że jest ogniskiem, jednoczącem świat chrześcijański, — byłby uważany za łudzącego się u t o p i s t ę. Szczególnie niepojętą jest dla cudzoziemca niechęć kleru polskiego do języka rosyjskiego i ruskiego (»ruteno«), którymi możnaby się niekiedy posługiwać w kazaniach i pieśniach kościelnych« itd.

Są to oskarżenia ciężkie, któreby nam bardzo mogły zaszkodzić, gdyby im w Rzymie uwierzono. Nie chcemy wątpić o tem, że szan. autor należy sam do owych szlachetnych idealistów, przejętych uczuciami nadprzyrodzonemi, o których pisze i że nie miał zamiaru nam szkodzić, — ale jest on widocznie uprzedzony przeciwko nam niekorzystnie przez tych, którzy nam zarzucają oddawna »fanatyzm patryotyczny, nienawiść przeciwko narodowi rosyjskiemu i obojętność dla interesów Kościoła«. Zresztą prawie wszystko, co czytamy w tym rozdziale o duchowieństwie naszem, świadczy o nieznajomości faktycznego stanu rzeczy. Mogło się wprawdzie zdarzyć, że jakiś kapłan polski wyraził wobec autora swą niechęć (bardzo zrozumiałą) do jęz. rosyjskiego i do całego prawosławia, ale niepodobna uwierzyć, żeby kapłani nasi odpędzali od siebie z »dumnym fanatyzmem« Rosyan, którzy się do nich życzliwie zbliżają i chcieliby się przed nimi wyspowiadać (takich chyba jest bardzo niewielu wśród prawosławnych) albo żeby nie chcieli z zasady pouczać ich w języku rosyjskim. Przeciwnie, znaleźli się niestety tacy, którzy (jak X. Sęczykowski — por. recenzyę p. Zdziechowskiego str. 17) spełniali ochoczo życzenie rządu, kiedy ten w r. 1869 »zezwolił« na używanie jęz. rosyjskiego w nabożeństwie dodatkowem na Litwie i Rusi (co się tyczy jęz. ruskiego, o tym niema dodziś dnia mowy, żeby go wolno było używać w kościele w państwie rosyjskiem). Zamiast więc zarzucać klerowi polskiemu fanatyzm patryotyczny, odpychający Rosyan z wyniosłą nienawiścią, mógłby autor z większem prawem skarcić surowo owych egoistów bez czci i wiary, którzy aż nadto chętnie posługiwali się jęz. rosyjskim w kościele dla przypodobania się rządowi, zdradzając i sprawę narodu i sprawę religii.

Nie jest też dalej prawdą, że naród nasz cały a duchowieństwo nasze w szczególności kieruje się w stosunku swojem do Rosyi uczuciem nienawiści, — owszem jesteśmy każdej chwili gotowi podać rękę do zgody, jeżeli tylko nieprzyjaciele nasi zaczną prawa nasze szanować. — Co się zaś tyczy kapłanów cudzoziemskich, którzy chcą nawracać Rosyan, tych przyjmiemy z otwartemi rękoma, — byleby tylko pracowali p o c i c h u i skutecznie tam, gdzie znajdą do tego sposobność: głośne bowiem rozpisywanie się o zdobyciu Rosyi dla Kościoła może tylko zaszkodzić sprawie, spowodować zupełne zamknięcie granicy dla księży obcych i pogorszyć jeszcze położenie Kościoła w państwie rosyjskiem.

Warto tu jeszcze przytoczyć piękny ustęp z art. wspomnianego p. Zdziechowskiego (str. 16): »Wreszcie p o t w a r z ą brzydką jest twierdzenie owego Francuza, że księża Polacy odpychają nawet tych Rosyan, którzy całem sercem gotowi byli im zaufać. Jeśli podobne wypadki, o których zresztą nie słyszałem nigdy, tu i ówdzie zdarzyć się mogły, to były wyjątkiem, nie regułą. Natomiast o misyjnych pracach naszych kapłanów wiem niejedno. Znam takich, którzy w przebraniu, narażając się na więzienie i Sybir, nieśli słowa pociechy przypisanym gwałtem do prawosławia, lecz trwającym w wierze przodków unitom i katolikom; znam innych, którzy nie dziesiątkami, ale setkami nawracali Rosyan na katolicyzm, ma się rozumieć potajemnie. Zachód o tem nie wie. Mogę też bez obawy przesady powiedzieć, że każda niemal świątynia katolicka w cesarstwie rosyjskiem, po za etnograficznemi granicami ziem polskich, staje się ogniskiem, pociągającem Rosyę ku katolicyzmowi, proboszcz bowiem takiej świątyni, korzystnie najczęściej wyróżniając się od kleru prawosławnego swoją kulturą duchową i umysłową, wzbudza

ku sobie, bez szczególnego ze swej strony starania, uczucia poważania i sympatyi wśród ludności rosyjskiej i tem samem toruje drogę wpływom katolickim«.

Także w ustępie, poświęconym kwestyi polsko-ruskiej (str. 736—740) przebija się niekorzystne wobec nas uprzedzenie autora. Oświadcza on wprawdzie, że nie chce rozstrzygać, kto w tym sporze ma słuszność, zapewnia o swojej bezstronności zupełnej i nie stawia bynajmniej kleru ruskiego w świetle idealnem. Owszem, ze słów jego wynika jasno, że i tam nie obejdzie się bez reform daleko idących; pisze on bowiem dosłownie tak (str. 735): »L'apostolato inoltre richiede energie morali non comuni, ed il clero uniato, sia perchè assorto nelle cure della famiglia.. sia perchè trascinato dall'ardore delle lotte pòlitiche, non è in grado i sacrificare per ideali religiosi il suo benessere materiale. Ci é doloroso il dirlo, ma é un fatto che il clero ruteno-unito non ha lo spirito apostolico che sarebbe necessario al compimento di una missione ardua e perigliosa« (»Apostolstwo wymaga nadto sił moralnych nie pospolitych, a kler unicki, bądź dlatego, że go pochłaniają troski rodzinne..., bądź też dlatego, że uczestniczy z zapałem w walkach politycznych, nie potrafi dla ideałów religijnych poświęcić swego dobrobytu materyalnego. Mówimy to z boleścią, ale faktem jest, że ruski kler unicki nie ma ducha apostolskiego, który byłby koniecznie potrzebny do spełnienia misyi trudnej i niebezpiecznej«). Przyznaje dalej autor, że Rusini przejęci są nienawiścią przeciw Polakom i cytuje bez zaprzeczenia słowa prof. Zdziechowskiego stwierdzające ogólnikowo, że księża Moskalofile grawitują ku prawosławiu a Ukraińcy łączą się z radykałami ateistami (str. 739). Nie pomija on wreszcie milczeniem skarg, które my wytaczamy przeciw Rusinom (cytuje też na str. 738 Nr. 23 »Gaz. Kośc.« z r. 1907 str. 235—236). Możnaby zatem powiedzieć, że bezstronność jego jest oczywista.

A przecież cały ten ustęp czyni nam krzywdę, nie dlatego, żeby ją autor chciał wyrządzić świadomie, ale dlatego, że nie poznał właściwego stanu rzeczy i że dał się w błąd wprowadzić przez swoich informatorów, którym niebacznie uwierzył, nie przekonawszy się, czy zupełnie zasługują na wiarę.

Przedewszystkiem było jego obowiązkiem zbadać, — kiedy już o tem chciał pisać, — czy n a s z e skargi czyli też zarzuty Rusinów lepiej są uzasadnione. My powołujemy się na fakta, których nieprawdziwości nikt nie może udowodnić. My nie zarzucamy ogólnikowo c a ł e m u klerowi ruskiemu niewiary, nieposłuszeństwa wobec Stolicy Apostolskiej i praw kościelnych, lekceważenia »Konkordyi«, używania środków niedozwolonych i niezgodnych z religią chrześcijańską w walce z Polakami itd., mówimy tylko o »pewnej części« tego kleru, o »niektórych« jego członkach i s t w i e r d z a m y p e w n e f a k t a w i n t e r e s i e r e l i g i i i s a m e g o l u d u r u s k i e g o. W artykule np. Gaz. Kośc., zacytowanym przez autora, napisaliśmy, że »kierownicy polityki ruskiej nakłonili lud do głosowania na syonistów«... i że »ze strony ruskiej nie wezwano wyborców ani do poparcia kandydata Polaka ani do wstrzymania się od głosowania«. Dalej pisaliśmy o »stanowisku nieprzyjaznem i lud gorszącem, jakie zajęła wobec nas pewna część ruskiego kleru. Oto zdarza się coraz częściej, że proboszcze ruscy odmawiają wstępu do cerkwi we wioskach, nie posiadających kościoła, księdzu łacińskiemu, który przyjechał dla wyspowiadania Polaków i zmuszają go do słuchania spowiedzi w budynku szkolnym; s k a r g i z a ś w n o s z o n e d o k o n s y s t o r z y n i e o d n o s z ą s k u t k u... A dalej znaną jest powszechnie rzeczą, że wielu księży ruskich nie troszczy się wcale o postanowienia konkordyi« itd. W innych także artykułach (jak np. na str. 45 i 214. G. K. z r. b.) mówimy o faktach, którym Rusini nie mogą zaprzeczyć; — piszemy zaś o tem nie z pobudek narodowych, ale w interesie religii.

Takie zarzuty różnią się bardzo od ogólnikowych oskarżeń ze strony ruskiej, że my powodujemy się szowinizmem patryotycznym i bez żadnej racyi posądzamy ich o dążenia schizmatyckie, o radykalizm, o zabieranie nam dusz itp. Autor zaś przedstawia rzecz w taki sposób, że i nasza prawdomowność musi się wydać bardzo wątpliwą.

Silnym argumentem, który ma w książce O. Palmieriego przemawiać w tym sporze dzisiejszym przeciwko nam, jest przypomnienie, że dawna szlachta polska, że biskupi Rzeczypospolitej nie dobrze obchodzili się z Unitami. Na to możnaby jednak odpowiedzieć 1-e, że Rusini w każdej prawie wiosce mają cerkiew i probostwo, których nie ufundowali sobie sami a Polakom panowie nasi bez porównania mniej zbudowali kościołów (i dziś jeszcze nieraz więcej dbają o Rusinów) a 2-e, że za błędy dawnej szlachty i dawniejszych biskupów naszych nie może odpowiadać duchowieństwo polskie, pracujące t e r a z w Galicyi wschodniej. A więc autor powinien był albo wykazać, że biskupi i księża nasi wyrządzili w ostatnich latach jakieś krzywdy Rusinom — albo przyznać, że na to nie dostarczono mu ż a d n y c h d o w o d ó w.

Ale oto znajdujemy przecież jeden bardzo ciekawy argument w jego dziele, który ma osłabić wiarogodność naszych oskarżeń. Argument ten jest zaczerpnięty — ktoby się był tego spodziewał? — z dziejów męczeńskich unitów, prześladowanych za wiarę w Rosyi! Myśmy zawsze mówili ze czcią i uwielbieniem o księżach ruskich, którzy tak potrafili lud ten usposobić (a którzy — nawiasem mówiąc — bardzo złego doznali, jak wiadomo, przyjęcia od wielu swoich współbraci, księży unitów galicyjskich!), a teraz znaleźli się wśród nieprzyjaciół naszych tacy, którzy przeciwko nam powołują się na niezłomną wiarę tamtych! »Co się tyczy wątpliwości ich uczuć katolickich, dowodzą Rusini datami z historyi kościelnej, że tak zwane cierpienia Kościoła katolickiego w Polsce są dziedzictwem unitów, których imiona zapełniają martyrologię katolicką w Rosyi, Polacy zaś sobie przywłaszczają chwałę krwi, przelanej przez unitów w dyecezyi chełmsko-warszawskiej« (str. 737—738, autor cytuje tu lwowską »Niwę« czasopismo ruskie z roku 1905. II. str. 297—299)!

Co za przedziwna logika w tym argumencie! Niezłomna wiara unitów chełmskich ma być dowodem, że równie szczere i mocne jest przywiązanie do Kościoła u tych księży ruskich w Galicyi, którzy zdzierają wiernym szkaplerze, odbierają różańce, łączą się z żydami i radykałami bez czci i wiary, nadużywają ambony i konfesyonału w zaciekłej walce z narodem polskim!

Z pomiędzy całego duchowieństwa świeckiego, pracującego w Galicyi, jeden tylko Najprz. X. Metropolita S z e p t y c k i pozyskał sobie uznanie i cześć autora: »Szlachetność urodzenia i podziwienia godne przymioty umysłu i serca uczyniły go jednym z najczynniejszych pionierów odrodzenia narodowego i religijnego Rusinów.. J. E. Mgr. Andrzej Szeptycki, serce apostoła i ascety, przysposobia księży i zakonników, których cnota, wiedza naukowa i gorliwość odda cenne usługi sprawie zjednoczenia Kościołów. Kilku młodych kapłanów i Bazylianów ruskich kształci się w uniwersytecie w Insbruku, inni przygotowują się do stanu duchownego w kolegium ruskiem w Rzymie. Kościół ruski unicki jest teraz w okresie nowego pełnego rozkwitu i jesteśmy przekonani, że w przeciągu lat niewielu kler ruski potrafi usunąć przeszkody, które tamują jego posłannictwo i spełnić zamiary Opatrzności Boskiej« (str. 735 i 740).

Do tej pochwały możemy dodać tylko wyraz gorącego pragnienia, żeby ziściły się nadzieje autora i zapewniamy go, że i nasi Najprz. Biskupi i całe Duchowieństwo polskie będzie radowało się szczerze tym nowym rozkwitem Cerkwi unickiej! Wtedy zakwitnie także niewątpliwie i miłość braterska pomiędzy wszystkimi kapłanami obu obrządków.

Wielkie nadzieje przywiązuje autor także do działalności Towarzystwa Jezusowego a mianowicie tych jego członków, którzy zajmują się obecnie sprawą zjednoczenia Kościołów (str. 740—746). Rozumie się samo przez się, że i nam wielką sprawią pociechę wyniki pomyślne tej pracy apostolskiej i niech autor będzie przekonany, że żaden z kapłanów polskich nie będzie jej nieżyczliwie oceniał i że nasi także Biskupi popierać ją będą wedle możności.

Kończąc, przyznajemy dziełu O. Palmieriego wartość niepoślednią, ale musimy mu wytknąć upodobanie we frazesach ogólnikowych i skłonność do sądów nierozważnych, które nie opierają się na gruntownej znajomości rzeczy i stosunków. Ryczałtowe wyroki ujemne o duchowieństwie polskiem w Królestwie, — wyroki, które odnoszą się oczywiście implicite także do Biskupów naszych, nie są chyba wcale godne badacza poważnego! Nikt nie twierdzi, że wszyscy kapłani nasi są przejęci gorliwością Apostołów, że są świętymi, ale ogół nie zasłużył sobie z pewnością na sąd, wydany o nim przez autora i musi go odeprzeć jako potwarz, którąby nam bardzo zaszkodziła (jak już powiedzieliśmy), gdyby Ojciec św. nie miał lepszych wiadomości i uwierzył (czego nawet nie przypuszczamy) temu prawdziwie potwornemu oskarżeniu, że duchowieństwo polskie »przeszkadza nawróceniu się Rosyi!«

X. A. P.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska ob. łać.

Rekolekcye Kapłańskie

pod przewodnictwem J. Eks. Najprzewielob. Ks Arcybiskupa Teodorowicza **odbędą się w Worochcie od 24. sierpnia wieczorem do 28. sierpnia z rana.**

O wczesne zgłoszenia uprasza Zarząd Domu Księży w Worochcie p. loco.

Dziekanem lwowskim zamiejskim tymczasowo mianowany ks. Jan Chęciński, proboszcz parafii N. P. M. Śnieżnej we Lwowie.

Odznaczony Expositorio canonicali: ks. Jan Baar proboszcz w Rzęsnej polskiej.

Konkurs na probostwa w Bilce szlacheckiej i Płotyczy rozpisano z terminem do 1 października b. r.

Zmarł ks. Michał Stasionis, kapłan-jubilat, kapelan Zakonu Benedyktynek w 80 roku życia a 51. kapłaństwa. R. i. p.

Dyecezya przemyska ob. łać.

Przeniesieni: ks. Jan Konopka, administrator w Polanie do Lubeni, ks. Stanisław Kielar, wikary w Lubeni, do Brzostka.

Rekolekcye dla księży w rezydencyi OO. Jezuitów w Czerniowcach rozpoczną się 24. sierpnia wieczorem.

Zgłoszenia przyjmuje superior rezydencyi Ks. Smodlibowski T. J.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Ks. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni katolickiej J. Chęcińskiego, pl. Bernardyński 2.